Lwów, 25. Marca. Nr 36. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

ZNAJDA.

Powieść w jednym tomie.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Epizod krótki ale romantyczny.

(Ciąg dalszy.)

Był to najlepszy sposób na szambelana do odstraszenia go od dalszej debaty; wiedział bowiem z doświadczenia, że panna Heloiza jest niewyczerpaną w tym przedmiocie, a stosunki jej z panią Georges Sand, stokroć powtarzane i rozwlekłe niepospolicie, stały mu kością w gardle. Rzucił więc okiem na zegar, i skoczył do taśmy od dzwonka.

— Cóż to, czy dziś nie będzie śniadania?

— Monsieur Casimir nous manque! — zagadła Heloiza, rada może burzę sprowadzić na głowę pana Kazimierza, który mimo wszelkich z jej strony usiłowań, nie chciał dzielić z nią owych tak przez nią ulubionych słodkich wieczorów, i długich pogadanek nocnych.

— Kazio poszedł się przejść — zagadła Helenka, która zawsze nabierała śmiałości, gdy szło o obronę ukochanego brata. Ale sierotka poszedł za nim.

Poczciwe dziecko! ona jedna w całym domu i wsi, nie nazywała go Znajdą ani psiarczukiem.

— I któż to pozwolił sobie posyłać Znajdę?

Wszyscy milczeli. Biedna Helenka nieśmiała się przyznać, że to ona posłała za bratem. W tej chwili na gwałtowne dzwonienie wszedł stary i siwy Franciszek, dawny kredencerz jeszcze nieboszczyka szambelana, który jeden nie bał się gwałtowności pana Dyzmy, i nieraz mu nawet stawał okuniem. Prawda, że pan Dyzma miał słabość do starego sługi, który go na rękach nosił jeszcze.

— Czegóż jegomość dzwoni? — szkoda dzwonka!

— Jakto szkoda! — zaczął gwałtownie, lecz spojrzawszy na starą i poczciwą twarz sługi, dodał głosem powolniejszym. Popatrz Franciszku na godzinę.

— Stary zegar zwyczajnie! nieregularnie idzie.

— Ale ja głodny! to lepszy zegar.

— No! no! będzie zaraz śniadanie! — odrzekł Franciszek kiwając siwą głową, i wyszedł.

— I jeszcze ten stary dureń mnie niecierpliwi. Gdzież to pan Kazimierz bywał? — dodał zwrócony do syna, który wszedł w tej chwili.

— Chodziłem trochę; dzień taki piękny.

— Monsieur Casimir aime le romantique... et la maison de l'econome est si pittoresque!... n'est-ce-pas?

Szambelan zatarł czupryne tylko, lecz nie podniósł tego powiedzenia.

— Kazio skarżył się od rana na ból głowy — ozwała się Helenka swoim wdzięcznym, do serca idącym głosem.

— Głowa! — głupie te wasze teraźniejsze głowy.... Lada co! głowa zaraz boli... Wiedziałeś przecie, że chciałem pomówić z tobą przed śniadaniem jeszcze, o twoim wyjeździe.... A czas już! czas!

— Pauvre Piculanque — mruknęła Heloiza po cichu.

— I czy nie dowiem się raz, kto po ciebie posyłał tego Znajdę.

— On mówił, że...

— Dajże pokój szambelanie tym nudnym indagacyom — przerwała szybko brygadierowa, widząc rumieniec gwałtowny na twarzy Helenki. Nieboszczyk brygadier nigdy....

— Nieboszczyk brygadier znał subordynacyą, jako człowiek wojskowy. Ja chcę wiedzieć, i wiedzieć muszę, kto posłał Znajdę.

W tej samej chwili wsunął się po mału blady Znajda, rzucił okiem pojętnem po wszystkich, i czy dosłyszał, czy zrozumiał o co rzecz idzie — wyrzekł pokornie ale stanowczo:

— Ja sam poszedłem za panem Kazimierzem.

Helenka wynadgrodziła go spojrzeniem, pełnem serdecznej wdzięczności, ale szambelan za to aż podskoczył w gniewie.

— Jakto? ty sam? smiałeś! Tego już nadto...

— Śniadanie jeszcze nie gotowe! — przerwał siwy Franciszek z wyrazem nieco szyderczym.

— Nie gotowe! — wrzasnął szambelan. Wołać Piotra!

— Piotr sieka kotlety dopiero! — mówił Franciszek dalej.

— Dobrze! dobrze! — krzyczał dalej szambelan, i poskoczył do swojej kancelaryi.

Przytomni znać wiedzieli o co rzecz idzie, spojrzeli bowiem po sobie z wyrazem niejakiej trwogi i pomieszania.

— Il pleuvra des coups! — mruknęła Francuzka, mizdząc się zpod oka do pana Kazimierza.

Helenka rzuciła na Znajdę spojrzenie znaczące, które

znać poznał biedny sierota, odpowiedział jej bowiem ledwie dostrzeżonym znakiem, i wybiegł z pokoju.

My zaś, którzy nie rozumiemy po co szambelan pobiegł do kancelaryi — pójdźmy za nim. Kancelarya pana Dyzmy całem przystrojeniem swojem odpowiadała przeznaczeniu swemu a zarazem nosiła na sobie cechę charakteru pana szambelana, gwałtownego i niecierpliwego. Były tam książki rachunkowe, tabele pańszczyzniane, była i fajczarnia w kącie, na stoliczku rozmaite próbki zboża, wełny, gorzelniane termometra i t. d., ale wszystko to razem poprzewracane i w największym nieładzie, świadczącym o niecierpliwej ręce, która w tym pokoju władała. Na samym środku ściany wisiała wielka tablica czarna z przyczepioną do niej na sznurku kredą i gąbką. Do tej to tablicy przyskoczył szambelan, i drżącą od niecierpliwości i gniewu ręką, wypisał wielkiemi, nieczytelnemi literami: Piotr kucharz 20 po świętach. Tablica ta wszystkim znana doskonale, była postrachem domowników; na niej to bowiem pan Dyzma zapisywał zasłużone wedle jego zdania przez domowników i chłopów plagi, które im były przy końcu tygodnia wypłacane równie regularnie, jak i inne, czy pieniężne, czy ordynaryjne należytości. Był to zwyczaj od dawna już zaprowadzony przez szambelana, ale nie jakby się zdawało pozornie, aby słabej pomagać pamięci. Zwyczaj ten miał nieco szlachetniejsze źródło. Szambelan, jak go poznaliśmy, był gwałtowny, ale w gruncie niezły wcale człowiek, i nieraz już w życiu uniesiony gniewem, gdy własną ręką skarał za srogo winowinowajcę, ciężko tego żałował, i wstydził się nawet sam przed sobą; postanowił zatem i przysiągł sobie, że już nigdy ani sam, ani przez nikogo w pierwszej chwili gniewu karać nie będzie. I ztąd powstała potrzeba utrzymywania takiego na tablicy rejestru. Była to tama, przez siebie samego wystawiona na wybuchy niemylne własnej gwałtowności.

Po śniadaniu, które się przecie odbyło bez dalszego wypadku, zabrał się szambelan z synem do kancelaryi.

— We wtorek tedy pojedziesz — ozwał się szambelan do syna, bez dalszej przemowy.

— Jak kochany papa każe; ale zdaje mi się, że dawniej był projekt na maj dopiero...

— Był albo nie był, aspanu nic do tego! Słuchajno Kazimierzu! — ciągnął stary dalej po chwili milczenia, powstrzymując się w namiętnych ruchach, i nie bez szczególnej powagi: Ja byłem młody, ja wiem, że krew młoda to nie woda, ot i moja krew choć stara, ale gorąca jeszcze! Ale są rzeczy które się nie dadzą młodością i żywością krwi wytłumaczyć, bo silniejsza nad wszystko powinna być prawdziwa szlachetność, która jest właściwą podstawą i jedynym warunkiem prawdziwego szlachectwa. Rozumiesz mnie panie Kazimierzu?

— Kochany papo! prawdziwie nie wiem....

— Nie kłam! kłamać to rzecz żydowska, kupiecka, ale nieszlachecka! Wiesz dobrze, że mówię o twoim stosunku; ta głupia Pikulanka, której się oczywiście w durnej głowie przewróciło. On jest moim sługą, ona bez wychowania; nadużywać ich położenia fałszywego, to niegodziwie! Ożenić się z nią nie możesz, a bałamucić w tem właśnie położeniu rzeczy nie powinieneś.

— Otóż kochany papo, są to donosy obmowy, które wiem z jakiego źródła szpiegowskiego wyszły.

— Wiem o kim myślisz, i wiem że nienawidzisz tego biednego Znajdę, a przecie, wierz memu staremu doświadczeniu, pod tą jego siermięgą i pod zgrzebną koszulą bije serce szlachetne. I djabli go wiedzą, zkąd on do takiego przyszedł serca.

— Umie się podchlebiać!

— Bez uwag panie Kazimierzu! — ja stary, lepiej znam ludzi, od takich jak ty młokosów. Owóż by jak najprędzej zerwać ten nieprzywoity i gorszący stosunek, przyspieszysz twoj wyjazd.

— Chciej wierzyć kochany papo, że jeżeli wspomniałem o tem, jeżeli chciałbym przedłużyć mój pobyt w twoim domu, to pewnie nie z powodu, jaki zdajesz się supponować — przemówił pan Kazimierz ze szczerym uśmiechem.

— Tem ci gorzej, bo wolałbym znowu, byś bez obyczajów był, jak bez serca! — I spojrzał ojciec na syna smutnym wzrokiem, zdolnym rozrzewnić serce, cokolwiek czułe. Ale pan Kazimierz nie bardzo wierzył w serce i w czułość a więc w milczeniu spuścił oczy tylko.

— Radziłbym ci, abyś nieco zwiedził świata, i nie ograniczał podróży na naszej stolicy. Pojedź za granicę, zabaw lat parę.

— Zapewne... najchętniej... ale koszta....

— Koszta być muszą, odrzekł ojciec z szczerem westchnieniem, bo pan Dyzma do szczodrych nie należał. Mógłbyś wszakże odzwyczaić się od tej rozrzutności, do której masz niemało skłonności. Porządku, porządku mój Kazimierzu! ja ci będę przesyłał regularnie... kosztować będzie! mówił dalej jakby sam do siebie, a czasy tak ciężkie! cóż robić... trzeba posłać do Mendla, do Tarnopola; on już dawno chce zakupić całą wódkę jaką mam w magazynie.

— Może szkoda, możeby lepiej gotówkę..... cedził pan Kazimierz z wyrazem ciekawości.

— Gotówkę... jaką gotówkę... ja niemam żadnej gotówki! — zawołał szambelan, mierząc syna ostrym wzrokiem.

To była najdrażliwsza materya dla pana Dyzmy, o którym twierdzono w okolicy, że ma grubą nawet gotówkę.

— Nie mam ja żadnej gotówki — powtórzył stary, i dla tego chcę przedać wódkę, chociaż nie płaci teraz.

Trzeba więc posłać konie po Mendla... nie chciałbym własnych ruszać koni, a trzebaby posłać kogo pewnego, bo żyd zapewne na całą noc wyjedzie, by wrócić jutro na szabas... i pieniądze mieć będzie... Myślałem posłać po wójta... to człowiek porządny.... ale nie wiem czy będzie miał czas.

Nagle łysnął przez twarz pana Kazimierza dziwny jakiś wyraz, jakby zadowolenia wewnętrznego.

— Ja bym myślał raczej, czy nielepiej posłać Oleksę.

— Oleksę, gajowego? — zapewne, to nie zła myśl; to człowiek poczciwy... a konie weźmie od teścia. No idź teraz, i zawołaj mi tu Znajdę.

Po krótkiej chwili wszedł Znajda, i widząc, że stary nad swój zwyczaj zadumany, przesunął się po cichu odedrzwi, i zaczął jakby na umyślnie okrążać pokój.

— Jesteś już! — czegóż się kręcisz, stańże już raz! mówił pan Dyzma coraz niecierpliwiej, chcąc sobie odwetować przymuszoną cierpliwość, z jaką dla powagi chciał wystąpić w rozmowie z synem.

I w rzeczy samej zaczęły go na prawdę gniewać manewry jakie przeciw zwyczajowi robił po pokoju Znajda, który nic nie odpowiadał i z założonemi na tył rękoma, ciągle się posuwał wzdłuż ściany.

— No, słuchajże i stań raz u sto djabłów.

— Słucham — odpowiedział pokornie.

— Pójdziesz po Oleksę gajowego, i powiesz mu, żeby wziął konie od starego Semena, od wójta, co pojedzie za Mendlem do Tarnopola, i przywiezie go na całą noc.

— Do Oleksy gajowego? — zapytał Znajda z niejakiem zadziwieniem, wpatrując swe oczy pojętne w szambelana.

— Mendel, do którego napiszę, będzie miał znaczne dosyć pieniądze z sobą; Oleksa jest porządne i uczciwe chłopisko, dobrze mi poradził Kazimierz.

— To pan Kazimierz poradził? — zawołał znowu z pewnym przyciskiem. Rozumiem! — mruknął sam do siebie.

— Ty dziś oszalałeś jak się zdaje; nie możesz usiać na miejscu, dziwisz się wszystkiemu, i teraz znowu wiercisz się.

— Ja chciałem popatrzeć tam przez okno, bo mi się zdawało, że jakiś żyd tam.... mówił sierota rumieniąc się. I miał czego, bo to było kłamstwo oczywiste. Ale jeżeli miało cel jaki, udało mu się zupełnie. Starosta bowiem szybko zwrócił się ku oknu, i w tej chwili szybszym ruchem obrócił się Znajda ku ścianie o którą stał oparty, i pociągnął ręką po niej. Gdyby się był szambelan przypatrzył bliżej, zobaczyłby na tablicy owej, na tym kwitaryuszu wypłat plagowych niemałą odmianę. Piotr kucharz 2. po świętach, pozostało. Poczciwy Znajda wymazał to złowrogie zero. Lecz szambelan, na szczęście zuchwałego chłopca, nic nie postrzegł, niecierpliwie tylko ozwał się głosem:

— Gdybym nie wiedział, że ty nie pijesz myślałbym żeś dziś pijany chłopcze! Wiercisz się, kręcisz, dziwisz się, djabli wiedzą czego, przewidują ci się żydzi na dziedzieńcu, tfu! Idźże już raz do Oleksy!

Nie dał sobie zlecenia tego powtórzyć zarumieniony po uszy chłopiec, i wyskoczył z kancelaryi. Przechodząc przez sień zawahał się, i zatrzymał. Na prawo z sieni był wchód do saloniku bawialnego, w którym był fortepian. I właśnie rozchodziły się z niego smutne jakieś tony, z fortepianowych klawiszów dobyte. Snać ich słuchał, i słuchał z zajęciem, bo oczy jego w drzwi salonu wciśnięte, odbijały zda się, czułą i melancholiczną śpiewność tych tonów. Ktoby go w tej chwili widział w tej chłopskiej siermiędze, zdziwiłby się niepospolicie nad wyrazem tak do niej niestosownym wedle naszych wyobrażeń, potwierdzanych niestety codziennie. Był to wyraz widomej wyższości umysłowej, wyraz, który twarz jego, już i tak piękną i znaczącą, rozpromienił natchnieniem prawie. Tony muzyczne to niższe to wyższe, w niepewnych akordach rozchodząc się jakby marzenia harmonijne, przechodziły widocznie po jego twarzy. Biedny psiarczuk zdawał się je rozumieć i czuć. I jak przykuty stał chwilę w sieniach, i już podniósł nogę, by z danem zleceniem wybiedz na dziedziniec, i znowu zawrócił ku drzwiom salonu, jakby czarem muzyki ciągniony. Obejrzał się w około z trwożliwą nieśmiałością, i ujął za klamkę. Tony muzyczne, kaprysem grającego tworzone, zabrzmiały głośniej, głośniejsze poruszenia klamki znikło w nich, i chłopiec drżący cały, czerwony cały, znalazł się mimo wiedzy prawie własnej w saloniku bawialnym. Przy fortepianie siedziała Helenka. Patrząc na jego oczy, na te śliczne oczy błękitne i przezroczyste, jak niebo w najpiękniejszej pogodzie wiosennej, wzniesione w górę, na tę twarzyczkę młodą, bladą trochę, z niezwykłym wyrazem poezyi, zdawało się że jej myśl odbiegła gdzieś daleko, i bujała może po tych niezmierzonych obszarach marzeń bez celu, pierwszych marzeń dziewiczych, cudnych, choć pewnemi jeszcze nie odznaczonych kształtami; palce jej tylko biegały niedbale po klawiszach, niepewnemi tonami wtórując niepewnym marzeniom. A w spojrzeniu oczów jak i w tonach muzycznych przebijała tęsknota jakaś, ta zwykła towarzyszka pierwszych naszych marzeń, które niczem nie są innem w wiośnie wieku, jeno budzeniem się serca, pierwszą uczuć zorzą. (D. c. n.)

Świąteczna praca.

Gawęda.

(Z podania gminnego.)

Wy bo panie mówicie: «człek pracą nie grzeszy,
Bo praca rzecz chwalebna, praca niebo cieszy,
To gdy i w święto ręki do trudu przyłożę,
Bóg się gniewać nie będzie, jeszcze mi pomoże;

Bo lepiej w święto zbierać święty chleb na niwie,
Niż go w karczmie przepijać żydom niepoczciwie.«
Piękna mowa, jak z książki; ale miły panie,
Inaczej święte, boskie uczy przykazanie,
Inaczej nam ksiądz pleban powiada z ambony;
Ja wam tak nie powtórzę, prostak nieuczony,
Lecz prawda zawżdy prawdą, choć i niewymowna,
To powiem po swojemu, co głowa spamięta.
Otóż i pleban prawił, że praca rzecz święta,
Lecz praca pracy nierówna.
Nie ma grzechu w niedzielę wyjść z pługiem na pole,
Z sierpem, z kosą lub z cepem stanąć do roboty,
By wdowę poratować lub nędzne sieroty,
Lub wreszcie swoją własną odpędzić niedolę,
Gdy siemia cały tydzień rznie na pańskim łanie,
Gdy chleba na przednówku ni kęsa nie stanie,
Kiedy dziatwa mrze z głodu, a prześcigłe zboże,
Lada dzionek jak z kłosów wysypać się może;
Wtedy śmiało w dzień święty pracuj w Imię Boże,
Weź i dzieci i całą czeladź dla pośpiechu,
Wtedy Bóg ci pomoże, wtedy nie ma grzechu,
Nie ma grzechu, gdy panu posłuszny chudzina,
Z pokorą karku do jarzma nagina.
I z ciężkim bolem serca w krwawym znoju tonie,
Gdy inni po mszy świętej kosztują słodyczy,
Wypoczynku i uciech w swem rodzinnym gronie,
Bóg jego jeden pacierz za sto mszy policzy,
I każdą kroplę potu sowicie opłaci;
A ciężka jego praca pana nie zbogaci,
Ni pożytku mu nie da, ni słodkiej pociechy;
Wyschną kwiaty w ogrodzie, burza złamie drzewa,
Bujne zboże na niwie dla gradu dojrzewa,
A gromnica od gromu nie zachowa strzechy;
Biada jego dostatkom, ej i duszy biada!
Boć to łza pokrzywdzonych, na krzywdzących spada...
Lecz gdy człek ma do sytu z łaski pana Boga,
Gdy go w przemoc nie wprzęga żadna przemoc sroga,
Gdy po prostu z łakomstwa, ni z głodu, ni z biedy,
Nie dla bliźnich pracuje w dzień święty; o wtedy,
Wtedy panie wybaczcie! grzeszy taką pracą!
Wtedy taki on dobry, jak i ów ladaco,
Co to szklannemu panu w karczmie bije czołem,
Bezbożnie leżąc krzyżem pod ławą, lub stołem.
Tak nasz poczciwy pleban pracę nam tłumaczy,
Ile może powtórzyć mój język prostaczy,
A że prawdę powiada, są na to przykłady,
Są cuda bożej ręki na szerokiej ziemi,
Zostawione nam tutaj na wieczyste ślady,
Spełnionej bożej kary nad ludźmi grzesznemi.
Opowiem jakie niegdyś sam widziałem dziwy,
I co mi o nich prawił pewien dziad sędziwy.

Spory kęs czasu przeszło od tej chwili;
Byłem ja wtedy pachołkiem przy dworze.
Raz mnie panowie z listem wyprawili,
Gdzieś aż w Polesie. Choć to nie za morze,
Nie między obcych, nie między pogany,
Zawsze jednakże inny kraj, nieznany....
Ochoty wielkiej w tę drogę nie było,
Lecz nie pytali, miło, czy nie miło.
Zabrałem pańskie listy za pazuchę,
Wziąłem do torby trzy sądaki suche,
Bochenek chleba, coś tam trochę sera,
W rękę maczugę, a grosz do kalety,
I hajda w drogę podkasawszy świty,
Pytając ludzi: kędy do Mozyra?
Bo w tamtą stronę, miłościwy panie,
Trzeba mi było nieść pańskie pisanie.
Tak tedy szedłem dzień jeden i drugi,
I cały tydzień z swoim przewodnikiem,
Zwykłym do mowy pokornej językiem,
Przez suche piaski, przez bory, przez ługi,
I przez moczary i głębokie brody,
I przez grobelki i przez trzęsawiska.
A zajdę na noc do jakiej gospody,
To pełną czarkę postawię na stole,
I grzecznem słowem ozwę się układnie,
Taj rozpowiedzą poczciwe ludziska,
Karczmę po karczmie i sioło po siole,
Kędy mi droga nazajutrz wypadnie;
A choć czasami pośmieje się który,
Czy z mego stroju, czy to z mojej mowy,
Bóg z nim, nie zmienić mnie ludzkiej natury;
Na całem świecie jest narów takowy
Ja jemu śmieszny, on mnie śmieszny wzajem,
A każdy idzie swoim obyczajem.
Szedłem więc dalej. Ot drugiej niedzieli,
Wyszedłszy z puszczy już przed samym zmrokiem,
Rad się ujrzałem na polu szerokiem,
Weselej oczom i człek stąpa śmielej.
Mówili ludzie, że gdzieś niedaleczko,
Po za tem polem i jeszcze za lasem,
Ma być słoboda, czy miasteczko;
Lecz niedaleczko znaczy u nich czasem
Milę i drugą!—A nogi już gną się
I nocą w lesie nie wesoło wcale!....
Lepiej więc ognisko rozpalę,
I prześpię sobie do rana na wrzosie.
Tak pomyślawszy do dzieła co żywo:
Mam z sobą krzemień, hublicę, kresiwo,
Będzie więc ogień, chrustu las dostarczy
I tuż przy drodze pod kamienną bryłą,
Kładnę ognisko, i wnet płomień warczy,
Huczy i szypi i strzela aż miło!
I blask do koła idzie co raz szerzej;
Spojrzę, aliści w stronę o trzy kroki,
Niby dwóch ludzi, stoją dwie opoki,
Przy nich kamienna para wołów leży,
A głaz gdzie moje ognisko się żarzy,
Istny pług z jarzmem. Dziwy nie pojęte!
Czy jaki obman czy sen mi się marzy?
Czy uroczysko spotkałem zaklęte?
Wszakże gdzieś słyszę jest taka kraina,
Gdzie wiedźma ludzi w kamienie zaklina....
Mrowie mnie przeszło i włosy powstały!...
Chciałem się krzyża osłonić znamieniem
I Boga wezwać.... usta skamieniały.
Nogi i ręce zaskrzepły kamieniem!
I nie przytomny, bez mowy, bez ruchu,
Jak głaz prawdziwy stałem między głazy,
W ciężkiej boleści!... W duchu, tylko w duchu,
Słałem do Boga modlitwę i łkanie.
Za starym ojcem, za matką niebogą,

By mnie dotknąwszy tą niedolą srogą,
Nie dał im zginąć gdy syna nie stanie,
By ich zachował w ojcowskiej swej pieczy.

Aż o to nagle jeden głaz człowieczy,
Z miejsca się dźwiga, toczy się w płomienie,
I kamiennego wnet się ima pługa.
Wślad za nim stąpa owa skała druga,
I pędzi w jarzmo dwa woły kamienne;
I w jednej chwili, niepojęty cudzie!
Kamienna socha i woły i ludzie,
Zwolna się toczą przez pole szerokie,
Aż ziemia stęka pod ciężkiemi kroki.
A ja com wprzódy okamieniał z trwogi,
Straszliwą zgrozą do życia wrócony,
Piorunem biegłem jak gdyby szalony,
Przez las, przez bagno, nie pilnując drogi;
I dzień już wielki na niebie się żarzył,
Kiedy mi wioskę Pan Bóg spotkać zdarzył.
Krzyknęli ludzie gdy wpadłem we wrota.
Bom się im zdawał istnym djabłem z błota,
A ze znużenia rzec nie mogłem słowa,
Ale nareszcie wróciła mi mowa,
Więc gdy wyrzekłem święte pozdrowienie,
Poznali przecie, żem boskie stworzenie,
I jęli pytać o moje przygody,
Gdym opowiedział nocne przydarzenie,
Rzekł mi naówczas starzec siwobrody:

„A toś z daleka, gdy nie wiesz o cudzie,
Który tu u nas znają wszyscy ludzie,
O którym powieść po całej krainie
Z wieku do wieku, od ust do ust płynie.
Powieść prawdziwa, nikt przeczyć nie może,
Bo choć pomarli nawet i prawnuki,
Tych co widzieli straszne sądy boże,
Dotąd kamienny Sawa pole orze,
Kamiennym pługiem, ludziom dla nauki.
Dawno to było, w tej właśnie słobodzie,
Żył Sawa bogacz, jakich dziś na świecie
Może i między pany nie znajdziecie
Siła dostatków miał w polu i w trzodzie,
W sadach, w pasiece, w dobytku wszelakim;
Złota nie liczył, a mierzył przetakiem!
Ale nie syty; bywało nikomu
Kawałka chleba nie poda w swym domu,
Gości nie wezwie na święty dar boży,
Na biedne dziady psy puszcza z obroży,
I choćbyś konał popod jego drzwiami,
Choćbyś go błagał i jękiem i łzami,
On ci i jednej nie rzuci okruchy,
Na płacze, prożby, na zaklęcia głuchy!
A dla czeladzi ciężki i surowy,
Cały dzień boży w srogim trudzie trzyma;
Nie ma spoczynku, ni posiłku nie ma,
Tylko złe słowo i korbacz dębowy,
A i siebie nie szczczędzi nie mało,
I żonie folgi nie da w ciężkiej pracy;
Wciąż przy robocie, jak nędzarze jacy,
Jakby im łyżki strawy brakowało.
Żeby choć mieli pracować dla kogo!
Sami we dwoje, bez dzieci, bez semii,
Żeby choć jaką sierotę ubogą
Wzięli do chaty!... nikogo na ziemi!
Żeby choć Bogu co dali w ofierze....
Gdzie tam! jak jakie pogany przeklęte,
Nie wiem czy nawet umieli pacierze,
Czy znali choćby Jego imię święte,
Pewno nie znali, bo od kiedy żyli,
Ni razu nawet w kościele nie byli,
Ni razu bożej służby nie widzieli,
Idąc do zwykłej pracy co niedzieli,
I sługi pędząc gorsi nad pogany.
Ot raz, na wiosnę, Sawa opętany,
Widząc jak śpieszy lud z całego sioła
W dalekie miasto, biorąc strój bogaty,
Jak mu i czeladź rozbiegła się z chaty;
Słysząc jak każdy Wielikdzień wciąż woła,
Prawiąc o Świętem Pańskiem zmartwychwstaniu,
I o dniu wielkim; pełen sierdzistości,
Że niecne trutnie, to o próżnowaniu,
I o włóczędze myślą w dniu tym długim;
Sam się najlepszym mieniąc w całej włości,
Wyruszył w pole na wielkanoc z pługiem,
A za nim poszła i jego niewiasta.

Wrócili kmiecie po modlitwie z miasta,
I cóż znaleźli!.... wszystko Sawy mienie,
W popiół spaliły niebieskie płomienie,
A o nim z żoną ni słychu ni wieści!
Aż gdy minęły już święta nareszcie,
Ludzie znalazłszy pośród jego pola,
Te coś je widział chodzące kamienie,
Odgadli jaka przypadła mu dola.

Na grzeszną pracę pan Bóg piorun rzucił,
Twarde grzeszniki w twardy głaz obrócił.

Od tego czasu całe pole owo,
Leży już dawno pustynią jałową,
Nikt odtąd na niem nie orze, ni sieje,
Tylko śród nocy nim kur nie zapieje,
Każdego święta i każdej niedzieli,
Jakeście wczora sami to widzieli,
Kamienni ludzie co nie znali święta,
I skamieniałe niewinne bydlęta,
Z kamiennym pługiem wlekąc się po roli,
Uczą nas słuchać świętej bożej woli."

Adam Pług.

Najnowsze dzieła.

Żegota z Milanowa Milanowski.

(Powieść p. Ign. Chodźkę.)

Na dwa stronnictwa podzieliło się, czyli podzielono dzisiejsze powieściarstwo. Jedno ma przedstawiać dodatnią stronę naszego dzisiejszego i dawniejszego życia, drugie stronę ujemną. Hasło tego podziału rzucił autor Listopada. Powieściarze stronnictwa dodatniego starają się wykrywać piękne strony tak obecnych jak i dawniejszych czasów, osobliwie z ostatnich lat upadku Polski. Idą w zawody, aby okazać iż społeczność polska nie była tak zepsuta, jak to inni pisarze, wskazując przyczynę jej upadku, rozkrzyczeli, iż nie demoralizacya arystokracyi i szlachty sprowadziła smutną katastrofę. Chwalebne jest

to usiłowanie, dopokąd idzie za prawdą, dopokąd piękne istotnie strony polskiego życia w chwilach upadku wykazuje. Ale chcieć widzieć w ówczesnych ludziach samą zacność, to zakrawa na śmieszność, a zamiast pomożenia sprawie, jeszcze więcej ją dyskredytuje. A jednak w taką ostateczność podpadają pisarze dodatni. Jest faktem historycznym, niezaprzeczonym, że duma zbyt wygórowana panów możnych, ich urąganie się władzy wszelkiej, samowola popierana liczną klientelą z jednej strony, z drugiej zaś strony sprzedawanie się drobnej szlachty możniejszym za chleb i względy, były jedną z najważniejszych przyczyn rozprzężenia społecznego w Polsce. Jednakowo pisarze dodatni apoteozują ten stan rzeczy. Nimbem bohaterskim osłoniwszy postać Radziwiłła *panie kochanku*, wzięto się do dalszego apoteozowania reprezentantów możnowładztwa rozpasanego. A nawet w staroście Kaniowskim usiłują piękną, dodątnią wykryć stronę. Nazwano jego dzikość i niczem niepohamowaną gwałtowność, *chimerą*, a w pastwieniu się nad ludźmi barbarzyńskiem widzą sposób tworzenia szlachty. Bo jak nam p. Rzewuski powiada, sowicie basarunek za pobicie szlachcica płacił zawsze pan Kaniowski. Posuwano się więc aby od niego być obitym, a kto nie był szlachcicem, ten dla uzyskania basarunku podsuwał się pod szlachectwo. Podobno do większej śmieszności tej chęci wyszukiwania wszędzie strony dodatniej doprowadzić nie można!

Inną, ciemną stroną naszego dawniejszego życia społecznego była coraz więcej w narodzie górę biorąca skłonność do burd i pijatyki. Otóż i tę stronę starano i starają się jeszcze dotąd upoetyzować, i w tym raku, który toczył społeczność polską, wyszukiwują zarody zacne, prawdziwie narodowe. Bo czyż osnowa większej części powieści z czasów stanisławowskich nie opiera się prawie wyłącznie na piiatykach i burdach szlacheckich? Rozkiełzana i niczem nie ukrócana junakierya, wierząca jedynie w siłę pięści i szabli, będąca niezawodną oznaką rozprzęgania się żywiołów społeczeńskich, osłoniona tam jest jakąś aureolą cnót niby narodowych, a to wszystko dla podniesienia dodatniej strony naszej przeszłości.

Podobne myśli powstają przy czytaniu znakomitych z innego względu powieści wielu, podobne nasunęły się nam i przy czytaniu powieści Chodźki: Żegota z Milanowa, nazwanej „klejnocikiem” przez Michała Grabowskiego w liście, któryśmy umieścili w Nowinach. Oto treść tej powieści:

W miasteczku Szyłełach zjechali się na uroczystość panny Maryi. W około panny Doroty Uwojnianki, chorążanki Korszewskiej skupiła się młodzież na dziedzińcu plebańskim. Między zalecającymi się pannie poznajemy Wincentego Mejrę, młodzieńca, wsławiającego się siłą nad wiek, zręcznością do korda i odwagą. Występuje drugi rywal, *Samson* czy *Herkules*, starszy o lat dziesięć, rubasznej i zuchwałej miny, pan Żegota z Milanowa Milanowski, jak autor mówi, *typ* tej dwoistej natury szlacheckiej t. j. *rubaszności* i *zuchwałości*. Twarz mu już po *śniadaniu zarumieniona* w plebanii, ciemnym wnet powlokła się karmazynem. Chrząknął, chrząknął tylko, ale aż ziemia zadrżała. Niegdyś krzyknął Achilles i Trojanie uciekli, tu chrząknął Żegota i panicze spłoszyli się od Doroty. Ale Mejra, jak ów natenczas Hektor stał na miejscu. Bali się wszyscy junaki, Milanowskiego; bał się go i pan kasztelan, pokrewny jego, który z nim był w rozmaitych zatargach. Nie mogąc sam mu sprostać nasadził na niego swoich huzarów i szlachtę z swej klienteli. Ci wszczynają z nim burdę, wabią go w zasadzkę a najpierwej jego dwóch kozaków. Lecz Żegota wpadł swoim na sukurs jak zgłodniały wilk na trzodę wieprzów.

«Wyższy o pół łokcia od wszystkich, z rapirem o pół łokcia dłuższym od szabelek szlacheckich, Muszk! (*bij*) krzyknął on z całych piersi, i dopadając na ten krzyk osłupiałej tłuszczy, dźwignął mieczem potężnie... kilka kling wybitych z rąk i rękojeści furknęło w powietrze... a Żegota, zwinąwszy przed frontem nieprzyjacielskim krzyżowego młyńca, puścił rapir horyzontalnie po nosach, zębach lub łbach; podług wysokości figur jak komu przypadło... Muszk! jak z pistoleta palił, i wnet jakby echa od tego wystrzału rozlegały się aj! oj! aj! oj! rozmaitemi głosami. Muszk! aj! aj! oj! oj! oj!

Opojona szlachta, dostawszy w pierwszym zamachu za swoje, ranieni i nie ranieni pierzchali wszyscy... przebrani huzary stanęli szczelniej w kroku, lecz i ci niemogąc wytrzymać krzyżowego młyńca, który jak błyskawica wijąc się koło Żegoty, odbijał i kruszył ich pałasze, a potem kosił ich horyzontalnie, uderzyli także na odwrót... Wtenczas Żegota zmienił manewr... walił płazem po uciekających Muszk! oj! oj! oj! oj! Muszk! aj! oj! oj!.... a za każdem Muszk! sztaba żelaza spadała z góry na grzbiet dognanego, boleśniejsze tam i na dłuższy czas, niżeliby lekka rana wypiekając piętno.”

«Tak niegdyś sławny rycerz Palestyny,
Oślą paszczeką gromił Filistyny.«

Dalej przenosi nas autor w czasy konfederacyi barskiej. Kasztelan po stronie królewskiej, Żegota między konfederatami. I znowu głównem ogniskiem obrazu jest walka między kasztelanem i kasztelańskimi a junakiem Milanowskim. Zapędził się Żegota zanadto daleko, został otoczony. Lecz z podniesioną szablą rzucił się na kasztelana, krzyknąwszy: ha zdrajco! dobędę ci ja żywota; kasztelan odskoczył z miejsca jak od pioruna. Żegota przesadził obławę. (D.n.)

Rozmaitość.

Czerniowce dnia 20. marca. Obiecałem ci szanowny Redaktorze donieść o naszem życiu umysłowem i towarzyskiem. Radbym ci dotrzymać słowa. Ale nie spodziewaj się, abym ci doniósł

o rozwoju tego życia, o postępach uczynionych na tej drodze; gdyż my żyjemy tylko tem życiem, któreśmy od was wywiężli; jesteśmy konserwatystami, i za szczęśliwych poczytywać się będziemy, gdy nam się uda wytrwać w tem życiu miłych pamiątek przeszłości. Za wątłą jesteśmy rośliną, bez korzenia przeniesioną w te strony, nie zdolną do wydania owoców. A przecież otoczeni zewsząd sławiańszczyzną, a nawet polszczyzną, nie czujemy obczyzny, gdy odwróciwszy uwagę od uczuć rodzimych, poprz stajemy na powierzchownych cechach swojszczyzny.

Prąd życia tutejszego jest za silny aby go wstrzymać; szczęśliwy kto nieporwany nim, ustoi na miejscu. Najważniejszą sprzeczność między życiem tutejszem a naszem, jest oryentalizm, z którego się społeczność tutejsza dotąd nie otrząsła. Oryentalizm nie zna życia towarzyskiego, dąży nie do zajęcia umysłowego. lecz do zmysłowości. Ztąd pochodzi ogólny tu brak życia społecznego, życie prawie haremowe, wygodne, popęd do uciech zmysłowych, a wstręt od dążności umysłowych. Towarzyskość jest tu na niskim stopniu; wszelkie usiłowania do utworzenia kółek towarzyskich, n. p.. kasyna, były bezskuteczne; niemamy w tak ludnem mieście jak Czerniowce, nawet ani jednej kawiarni; a przecież ta przynajmniej mogłaby nam poczęści zastąpić miejsce pożycia towarzyskiego.

Uwierzysz zapewne, jaką w takich stosunkach było dla nas roskoszą, pojawienie się dwukrotne teatru polskiego w Czerniowcach. W roku 1851 przybył tu pan Borkowski ze swojem towarzystwem, i uprzyjemnił nam życie kilkotygodniowem dobrem przedstawianiem sztuk polskich; a mianowicie wodewilami narodowemi jak n. p. Krakowiacy i Górale, Szkalmierzanki, Okrężne i t. p. przenosił nas w strony rodzinne, i odświeżał dawne wrażenia. W roku 1853 przybyła trupa pana Chełchowskiego, która również kilka tygodni grała ku powszechnemu zadowolnieniu komedye, a nawet dramata i zostawiła w nas tęsknotę i pragnienie dalszych przyjemności tego rodzaju. Obiecują nam i w tym roku przybycie pana Chełchowskiego z swojem towarzystwem, którego z niecierpliwością oczekujemy. Niewystawicie sobie jakie wrażenie robi teatr narodowy za granicami swego kraju; na deskach teatralnych widzi się ten sam kraj, którego się tak pragnie! Przeto też uczęszczali do teatru polskiego tacy nawet, którzy dawniej w swojej siedzibie o teatrze nigdy nawet nie marzyli.

Pan Beck, obywatel tutejszy urządził tu w tym roku w swojej kamienicy przy ratuszu stałą scenę teatralną, na której obecnie gra niemieckie towarzystwo pana Urbaniego. Wszelako dyrekcya podjęła się tej „spekulacyi“ bez zasobów materyalnych; nieposiada też funduszów na sprowadzenie dobrych artystów dramatycznych i publiczności tutejszej zupełnie nie zadowalnia, wegetując tylko do jakiegoś czasu.

Z tego co powiedziałem poznacie, że i o karnawałach tutejszych nie wiele można powiedzieć; i tu oryentalizm stoi na zawadzie. Bywają tu wprawdzie reduty; ale bez żadnego wdzięku. Gustem i dowcipem żadna cię nie zainteresuje maska; najwięcej pojawiają się maski w postaci hucułów, lecz z ich ust nie usłyszysz nic takiego czegobyś nie usłyszał z ust prawdziwego prostego hucuła. Zabaw domowych mało tu bywa; z balów publicznych tylko „strzeleckie“ jako tako się udają; bale zaś tancmistrzowskie tylko sztucznemu mechanizmowi (gatunkowi rekrutacyi) przedsiębiercy, swe istnienie zawdzięczają.

Tyle o życiu towarzyskiem! Teraz cokolwiek o umysłowem. Że przy braku życia towarzyskiego i życie umysłowe rozwinąć się niemoże, łatwo pojmiecie. Zresztą niema gdzie czerpać pokarmu duchowego. Nowo założona biblioteka krajowa bukowińska, mając pierw do zapełnienia pułki, przeznaczone dla literatury wołoskiej i niemieckiej, o literaturze polskiej myśleć jeszcze nie mogła; przeto nie znajdujemy tam prawie nic polskiego, i długo jeszcze nie znajdziemy, jeżeli wy w tem nie dopomożecie, i nie zasilicie tutejszej biblioteki waszemi czasopismami i zbytniemi książkami, leżącemi bez użytku w waszych bibliotekach, u waszych literatów i wydawców, o co już ktoś w dzienniku literackim orędował. Każdą więc książkę, którąby się czytać pragnęło, trzebaby dopiero kupić, a nie znajdując zwykle w tutejszej księgarni tego czego się szuka, trzeba dopiero zapisać i czekać często parę miesięcy na nią.

Reassumując więc wszystko, jako rezultat nie mogę ci nic innego donieść, jak tylko to, co twoj korespondent z Samborskiego doniósł ci o tegorocznych zabawach swojej okolicy; — oto: niema u nas żadnych pisarzy, nikt nie pisze poezyi, nikt powieści, nikt nie pracuje nad dziejami, krytyką, filozofią, nikt nad innemi umiejętnościami; niemamy żadnego malarza, żadnego rzeźbiarza, żadnego muzyka, a gdyby nie było mistrza „polki tremblente“ musiałbym wyrzec, że nie posiadamy nawet artysty „sztuki tańcującej.“

* **Złoto kopalni amerykańskich i australskich**, ocaliło od przesilenia finansowego nowy świat i państwa zachodnie, a mianowicie Francyą i Anglię, i dziś przy zbliżającej się walce daje im środki do ręki, których ich przeciwnicy nigdy mieć nie mogą. Gdyby nie złoto tych kopalni które płynęło jak niewyczerpane źródło od lat kilku, Europa i nowy świat, nie byłyby znalazły tych potężnych odpływów na zewnątrz, tych potoków wychodźtwa, które były dla ruchu handlowego jednym z najdzielniejszych bodźców. Gdyby nie złoto nowych kopalni, nadzwyczajne ożywienie przemysłowe które nagle objawiło się w 1852 roku, nie byłoby mogło długo się utrzymać, wielkie przedsięwzięcia byłyby nie miały podstawy, i wkrótce byłoby ich mnóstwo upadło; złoto było nawet podporą wielkich przedsięwzięć wewnątrz i podnietą handlu na zewnątrz, a dzisiaj jest główną podstawą tych olbrzymich sił jakie Anglia i Francya rozwija. Przypatrzmy się z boku co zaszło w Europie a mianowicie we Francyi i Anglii po roku 1848. Zaledwie burza polityczna ustała, człowiek swobodny wśród swoich zatrudnień, rzuca się w inne wypadki, daje on przemysłowi i handlowi nadzwyczajny polot i zachętę, tworzy tysiące projektów, mnoży takowe dzień po dniu i wkrótce wysokość gmachu nie znajduje się odpowiednią stósownie do jego podstawy. Otóż w tych zabiegach społeczeństwo zachodnie dźwignęło się do takiej potęgi, do jakiej dotąd nigdy nie doszło. Złoto Kalifornii i Australii zdaje się daleko obfitsze niż kiedykolwiek, rozlewa się po zachodnich krajach i wszędzie zapełnia niedobory. Chce kto wiedzieć o jaką ilość wzbogaciła się massa kursującego złota i srebra, odbijanego na pieniądze w ciągu samego tylko roku 1853 skutkiem odkrycia kopalni? Znajdujemy dość ciekawy tego wykaz w ostatnim numerze angielskiego *Economist*; według tego dziennika w trzech głównych państwach świata, t. j. w Ameryce, Anglii i Francyi, odbito za 968,145,000 fr. sztuk monety krajowej w roku 1853 z których: 888,704,000 fran. w złocie, 61,891,000 fran. w srebrze, a 2,537,000 fr. w miedzi. W tej ogromnej summie część przypadająca na każdy z tych trzech krajów, przedstawia się w następującym sposobie: Anglia monety złotej za 289,700,000 franków, srebrnej za 17,542,000 fr., miedzianej za 320,000. Razem 307,562,000 fr. Francya monety złotej 330,463,000 fr., srebrnej 20,089,000 a miedzianej 1,974,000 fran. Razem 352,526,000 fran. Stany Zjednoczone złota za 259,425,000 franków, srebra za 20,089,000 a miedzianej monety za 1,575,000 fr., to jest razem 281,198,000 fr. Francya jak widzimy z pomiędzy tych trzech mocarstw najwięcej wybiła monety złotej, proporcyonalnie do swojego zwyczaju najmniej monety srebrnej. Wytłumaczenie tego jest bardzo proste, ponieważ skutkiem samych faktów stosunek między temi dwoma metalami zupełnie się zmienił; to jest, że złoto spadło w swojej wartości a srebro się podniosło, co skłoniło Francyą do wzbogacenia kursującej monety tym metalem który proporcyonalnie mniej był drogim. Wracając zatem do

powyżej założonej cyfry, cyrkulacya pieniężna w Stanach Zjednoczonych, we Francyi i Anglii, powiększyła się wciągu jednego roku o 968 milionów. Jest to ogromna liczba i zupełnie nie proporcyonalna, do tego cośmy aż do tych czasów widzieli. W początku bieżącego wieku produkcya roczna złota i srebra w całym świecie wynosiła średnio 282 miliony franków, w których 200 milionów srebra a 82 złota. W roku 1848 przed odkryciem kopalni amerykańskich ale kiedy już piaski gór uralskich w Rossyi, i kopalnie w Syberyi znacznie powiększyły ilość produkowanego złota, roczna produkcya wynosiła 216 milionów franków srebra i 247 milionów złota. Dziś ta produkcya roczna w porównaniu z początkiem bieżącego stulecia, więcej niż potroiła się i więcej niż podwoiła od lat sześciu; a ponieważ wydatek srebra zmniejszył się, cała ta przewyżka zatem pochodzi ze złota. Obliczając wszystko złoto którego dostarczyły światu kopalnie Kalifornii i Australii, znajdziemy przeszło dwa milijardy fran., a jednak znalazło się miejsce na ich przyjęcie, i potrzeby które niemi zaspokojone zostały. Nigdzie ono niesprowadziło nabrzmienia. Być może iż obfitość złota stanie się kiedyś źródłem kłopotów, ale nim nadejdzie ta chwila, zbawiło ono mocarstwa zachodnie od katastrofy finansowej, i postawiło ich dzisiaj w możności rozwinąć niewidzianą dotąd potęgę na lądzie i na morzu.

* **Aleksander Seregejewicz Mężykow**, rossyjski minister marynarki. Prawnuk piekarczyka, wzniesionego do najwyższych dostojeństw przez Piotra I., urodził się książę 1789 r., wstąpił w służbę 1805 r., był jako sekretarz przy ambasadzie rossyjskiej w Wiedniu a później fligiel-adjutantem ces. Aleksandra, któremu w wojnie r. 1812 do 15. towarzyszył, w którymto czasie szybko aż na jenerała postąpił. Gdy cesarz r. 1825 nie działał natychmiast na rzecz Greków, Mężyków wraz z Capodistrią, Stroganowem i innymi wziął uwolnienie i dopiero za cesarza Mikołaja przywrócony do służby i powierzono mu poselstwo do Persyi. Poselstwo to tak jak przeszłoroczne jego do Turcyi, wojnę sprowadziło, w której z początku miał udział. W wojnie tureckiej r. 1828 zdobył Anapę i dostał potem dowództwo nad wojskiem oblegającem Warnę, gdzie mu się nie tak szczęściło jak pod Anapą. Jednego wieczora, gdy już ostatnie rozkazy wojsku wydał, i do swojej kwatery chciał wracać, stanął jeszcze, wygodnie rozkraczywszy się, aby tabaki zażyć. W tej chwili padł strzał nieprzyjacielski, kula przeleciała mu pomiędzy nogi i raniła w niebespieczne miejsce, tak że książę padł, i jako umarłego odniesiono go. Niemożna się było dowiedzieć jakie skutki ztąd wynikły; adjutant jego tylko mawiał, gdy się o zdrowie jenerała pytano: »na kuli armatniej nikt bezkarnie nie jeździ!« Słabość ta tak długo trwała, iż hrabia Woronzow musiał go zastąpić. Wyzdrowiawszy, mianowany został vice-admirałem i szefem jeneralnego sztabu marynarki, która mu dzisiejsze lepsze urządzenie zawdzięcza. Roku 1831 został jeneralnym gubernatorem Finlandyi a 1834 roku admirałem, w dwa lata zaś później rzeczywistym ministrem marynarki. W początku zeszłego roku otrzymał ważne poselstwo do Konstantynopola. Twierdzą że jego dorywcze wystąpienie nastąpiło z polecenia wyższej władzy. Swą porywczością wywołał postanowienie Porty, prowadzenia wojny z największem natężeniem. Cesarz oddał mu dowództwo nad 18. okrętami liniowemi, 12. fregatami, i wielu mniejszemi statkami na Czarnem morzu. Teraz będzie miał sposobność okazania, co z tą siłą przeciwko połączonym flotom Francyi i Anglii dokazać potrafi. Książę jest wzrostu średniego, ma włosy krótkie i siwe, głowę małą, czoło kościste, twarz kościsto wystającą, każden rys twarzy gruby, oko nadzwyczaj surowe. Postawa jego dumna, ale chód w skutek wspomnionego ranienia, ociężały. Należy do najbogatszych posiadaczy dóbr w Rossyi, a nawet i świata, i powiększa te skarby bardzo wielką oszczędnością. W jego pałacu w Petersburgu panuje pomimo to najwyszukańszy przepych, lecz salony jego zamknięte dla cudzoziemców, a nawet znakomita deputacya z Finlandyi która z poleceniami do niego była posłana, powrócić musiała, nie będąc przypuszczona do swego gubernatora jeneralnego. Wraz z Orłowem stoi na czele staro-rossyjskiej partyi, która nienawidzi zachodniej cywilizacyi i marzy tylko o przeistoczeniu wszystkich krajów na wzór Rosyi. Najważniejszym artykułem wiary tej partyi jest zdobycie Turcyi, aby ztąd opanować morze Śródziemne i wszystkie doń przytykające kraje utrzymać w zawisłości.

Do dzisiejszego Numeru dołączone są dwie ryciny; jedna **mód**, a druga, **kolorowany bukiet** duży do roboty na kanwie. Opis podamy w numerze następującym.

Przyjechali dnia 22. i 23. marca do Lwowa:

PP. Stanisław hr. Dzieduszycki z Jezupola. Alexander Sękowski z Brodów. Seweryn Domaradzki ze Stanimirza. Teodor hr. Karnicki z Michałowic. Seweryn Dunin hr. Borkowski ze Stanisławowa. Włodzimierz Puzyna z Winogrodu.

PP. JO. książę Edmund Schwarzenberg z Gródka. J. Exc. Feldmp. Russ z Wiednia. Kazimierz hr. Dzieduszycki z Niesłuchowa. Edward Dunin hr. Borkowski z Dubiecka. Herman Czetsch z Przemyśla. Julian Janiszewski z Woleniowa. Leopold Witwicki z Załuża. Dyonizy Dombay z Żołkwi. Michał Czajkowski z Komarna.

Wyjechali dnia 22. i 23. marca ze Lwowa:

PP. JO. książę Edmund Schwarzenberg do Gródka. J. Exc. Kajetan hr. Lewicki do Chorostkowa. Wincenta księżna Ponińska do Tłustego. Piotr hr. Krasiński do Rohatyna. Jan Engel do Rawy. Wincenty Kirschner do Brzeżan.

PP. Jan hr. Golejewski do Stanisławowa. Adolf Fiala do Złoczowa. Rudolf Kriegshaber do Krakowa. Michał Lewicki do Gdowa. Emilia hrabina Łosiowa do Łańcuta. Jan Zakrzewski do Mikołajowa. Julian Pociński do Rożniatowa. Maciej Jaśkiewicz do Rzeszowa.

Kurs lwowski.

Dnia 24. Marca.		gotówką				towarem.		
Dukat holenderski	złr.	6	kr.	10.	złr.	6	kr.	14.
Dukat cesarski	»	6	»	16	»	6	»	20.
Półimperyał zł. rosyjski	»	10	»	46	»	10	»	51.
Rubel srebrny rosyjski	»	2	»	6	»	2	»	7.
Talar pruski	»	2	»	1	»	2	»	3.
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	»	32	»	1	»	33.
Galicyjskie listy zastáwne za 100 złr.	»	90	»	33	»	91	»	54.

Kurs telegraficzny z Wiednia. 24 marca o 2 g. popołudniu.

Amszterdam. — Augsburg 136¾. Frankfurt 136¼. Hamburg 102. Liwurno 132. Medyolan 134. Genua. — Londyn 13. 23. Marsylia — Paryż 161¼. Bukareszt. — Konstantynopol. — Agio duk. ces. — Srebra agio 36. Pożyczka 5% 81⅞. 4½. — Pożyczka lit. B. — Akcye banku 1159. Kolej północna 2165. Obl. ind. 5% —.

Od wydawcy. Z końcem tego miesiąca kończy się pierwszy kwartał dziennika »N o w i n«. Udział i rozpowszechnienie jakie to pismo w pierwszych chwilach swego pojawienia się uzyskało, jest dla mnie bodźcem do łożenia starań i nieszczędzenia nakładu, aby rozwinąć ten dziennik według zamierzonego a w pierwszym już ogłoszeniu wypowiedzianego celu. Wszedłem głównie z powieściarzami w umowę stałą. I tak już w kwietniu w kolumnach »N o w i n« umieszczona będzie powieść Zygmunta K a c z k o w s k i e g o, a w maju K r a s z e w s k i e g o. Licząc i na dal na uznanie moich zabiegów i na udział dla »N o w i n« wzywam do prenumeraty dalszej, w którym celu kwartalnym prenumeratorom pocztowym przesłałem list zwrotny prenumeracyjny.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**